# ILUSTROWANY GŁOS NARODU

z dnia 26. Lipca 1902 r.


## CO CZYTAĆ?

### Powieści Kazimierza Tetmajera.

Kazimierz Tetmajer znany jest wśród nas przedewszystkiem jako poeta. Nic dziwnego, że niepośledni liryk takie sobie wyrobił dominujące prawo uznania, iż mniej mówią o jego powieściach i nowelach. A tymczasem niektóre z nich, jak naprzykład „Ksiądz Piotr“ mogły by być ozdobą najwybredniejszej literatury. Świeżo opuściło prasę trzecie wydanie „Anioła śmierci“ pierwszej dłuższej pracy prozą Tetmajera. Zbiegło się więc prawie równocześnie z wyjściem w książce drugiej jego powieści: „Panna Mery“.

Jest wiele wspólnego w obu powieściach. Jedna i druga to dramat serca. W „Aniele śmierci“ — rzeźbiarz Rdzawicz pokochał niejaką Marynię Tyźwiecką, zaręczył się z nią. Pod naciskiem krewnych, nie chcących widzieć Maryni za rzeźbiarzem bez majątku i wyraźnej pozycji, narzeczona zwraca mu słowo. Treść powieści to dramat Rdzawicza po tem zerwaniu.

„Panna Mery“, bogata żydówka warszawska zakochała się w muzyku Strzyżeckim. Strzyżecki, jak i jego poprzednik Rdzawicz jest artystą „bez pozycji“, namiętna żydówka rozkochuje go w sobie, gorącej krwi daje ulgę w pocałunkach. W samotnych alejach i oranżerjach mdleje od jego uścisków. Gdy jednak opera Strzyżeckiego doznaje absolutnego niepowodzenia, zmysł praktyczności przeważa w pannie Mery; rozkochanego, błagającego o miłość artystę odtrąca — wychodzi za mąż za zrujnowanego hrabiego Czorsztyńskiego. Strzyżecki pakuje sobie kulę w łeb. Cudem jednak zostaje przy życiu, wyjeżdża do Ameryki. Pani Mery Czorsztyńska po kilku latach czyta wiadomość, że Amerykę obiega z tryumfem nieznanego autora opera: „Lilia przy dolinach“. Nowość ukazuje się też i w Warszawie. — Autorem, oczywista, jest Strzeżecki. W pani Mary budzą się wszystkie dawne namiętności. Na jednym z wielkoświatowych rautów odnawia znajomość ze Strzyżeckim. Sytuacja jednak zmieniła się. Strzyżecki prawie, że zapomniał o dawnej miłości. Jako pamiątka została mu tylko zgnieciona kulka ołowiu, którą jak zabawkę nosi przy zegarku. Stroną błagającą jest teraz pani Mery.

„Tak, tak, niech się dzieje co chce! Ona także ma swoje prawo do życia, ma swoje prawo do miłości, do używania, chce kochać, chce być kochaną, chce rozkoszy i chce ją dawać. Jest piękną, ale jej mąż równie chętnie czułby się ściskanym przez jej pannę służącą, jak przez nią. A ona — ach! z początku podobał się jej Czorsztyński, imponował jej, pochlebiał, potem zobojętniał jej, teraz jest jej wstrętny. Ona chce to czuć, co czuła tam, w oranżeryi; chce to brać i chce to dawać.“

Pierwsza też Strzyżeckiemu wyznaje miłość.

— Kocham pana.

„Zaczęły się teraz dla pani Mery dni upojenia, dni życia“. Ale Strzyżecki dość obojętnie wyzyskuje jej ofiarę i gdy nadchodzi potrzeba wyjazdu, uskutecznia to bez skrupułów i wahania. Równocześnie pani Mery przechodzi i domową katastrofę. Po odjeździe Strzyżeckiego wraca do domu.

„Pani Mery, wchodząc do jadalnego pokoju, spojrzała na zegar ścienny, była godzina siódma. Mąż siedział przy stole zapewne od pół godziny, to jest od pory podania do stołu.

— Czekałem na ciebie — rzekł, wstając. — Ale co ci się stało? Płakałaś?

— Nie.

— Zdawało mi się [illegible] byłaś tak długo, jeśli wolno zapytać?



WILLA W ŻEGIESTOWIE.

— Miałam interes.

— Krótko. Czy wolno zapytać jaki?

— Czy pytałam cię kiedy o „twoje interesy?“

— Proszę cię, Mery, jako mąż; powiedz, gdzieś była?

— Jakiem prawem?

— Prawem męża.

Pani Mery zaczęła się śmiać:

— Ależ, mój drogi, bądź spokojny, przecież to nie mój posag chodzi po wertepach, to tylko ja.

Czorsztyński zbladł, słowa mu na razie brakło, a pani Mery szydziła dalej:

— Bądź spokojny, kochanku, bądź spokojny, mój mężu. W tym roku dostaniesz dwakroć pięćdziesiąt tysięcy renty, a w przyszłym może trzykroć, a może i czterykroć! będzie to zależało...

— Od tego, czy twemu ojcu uda się oszukać na akcyach kolejowych, czy nie! — huknął Czorsztyński, zrywając się z krzesła, blady jak ściana, z iskrami w oczach.

— Milcz, ty! — krzyknęła pani Mery.

— Ty milcz! — odkrzyknął jej Czorsztyński.

— Ty hołyszu!

— Ty Żydówko!“

Pani Mery postanawia uciekać.

„Weszła.

Otwarła szybko kasę i zabrała pieniądze, papiery, złoto, wszystko, co było. Przypuszczała, że w tej podręcznej kasie musiało być około dziesięciu tysięcy.

Zamknęła kasę i chciała wyjść. Wtem we drzwiach zagrodził jej drogę Czorsztyński.

— Co ty robisz, Mery? — spytał.

— Proszę mnie puścić — rzekła pani Mery, usiłując nie zdradzić lęku i drżenia.

— Zostaniesz!

— Nie! Puszczaj! Precz!

— Milcz i stój!

— Ha!

Pani Mery z pianą na ustach rzuciła się ku mężowi i pchnęła go silnie w piersi; Czorsztyński zachwiał się i cofnął, ale i on przestał panować nad sobą. Ujął lewą ręką za ramię panią Mery i ścisnął tak mocno, że jęknęła i przyklęła z bólu, prawą zaś chwycił za wiszącą szpicrutę ze ściany i na plecy pani Mery spadł ze świstem raz.

Przegięła się w tył i zemdlała.“

Małżeństwo z Czorsztyńskim naturalnie zerwane, Strzyżecki wyjechał, — pani Mery nic już nie zostaje w życiu.

W „Aniele śmierci“ bohaterem jest mężczyzna i jego ból, jego nieszczęście odczuwa autor. Marynia ukazuje się tylko raz i więcej jest podobna do bezimiennego demona, który krwawi życie Rdzawiczowi.

W „Pannie Mery“ rozwinięta jest psychologia nieszczęsnej, bądź co bądź, kobiety; treścią powieści jest jej ból. Strzyżecki, jeżeli się w utworze zjawia, to jako postać drugorzędna, o tyle, o ile jest niezbędny. Dlatego też, przy tej zamianie ról „panna Mery“ jest jakby uzupełnieniem „Anioła śmierci“.

Strzyżecki w „pannie Mery“ przechodzi dramat na tem samem tle dysproporcji „pozycji“ do „wartości wewnętrznej“ co i Rdzawicz w „Aniele śmierci“, nieszczęście jednak i rozpacz Rdzawicza są bardziej gromkie, bardziej młodzieńcze. Usunięty na dalszy plan Strzyżecki jest jakby dojrzalsze już wydanie Rdzawicza.

„Anioł śmierci“ zaleca się przedewszystkiem jako utwór o niezwykłych fragmentach lirycznych. — „Panna Mery“ interesuje znowu, jako trafna psychologia sfer żydowskich. Dobrem jest całe otoczenie bohaterki, które ją od dziecka otacza i urabia na swój plutokratyczny sposób. Ma zwłaszcza „panna Mery“ postać niejakiego wuja Hammerschlaga, filozofa kapitalizmu. Warto przytoczyć kilka urywków z jego „systematu“.

„Croyez moi — mawiał wuj Hammerschlag, croyez moi: wszystko zależy od wysokości ceny. Wszystko można kupić, den Mickiewicz, den Kościuszko... Wszystko stanowi cena“.

— Choćbyś wydała trzydzieści tysięcy na ubogich, panna w twojej sytuacji, — mawiał wuj

Hammerschlag — du kaufst für sechzig Tausend. To nie jest źle umieszczany kapitał. On się procentuje znakomicie opinią u ludzi. — Kto wziął



ZAKŁAD W ŻEGIESTOWIE.

jednym pięćkroć, może dać drugim pięćdziesiąt tysięcy — dla zatkania gęby.

My, kapitaliści, robimy wojnę i pokój, szczęście i nieszczęście, la pluie et le beau temps świata. Der liebe alte Gott ist schlafen gegangen und Er hat uns, den Kapitalisten, gesagt: „Messieurs, faites le jeu, s'il vous plait“. Et nous faisons le jeu, wir machen Spiel. Pan Bóg już nie potrzebuje czuwać, ani rządzić: my czuwamy i my rządzimy.

I w takiem otoczeniu wychowywała się przyszła hrabina Czorsztyńska. *Aut.*

ALEKSANDER DUMAS.

# TYSIĄC I JEDEN WIDZIADEŁ.

## I.

### Morderstwo w Fontenay.

Jesienią 1831 r. zaproszony zostałem przez jednego z moich przyjaciół na polowanie do Fontenay. Byłem wówczas wielkim miłośnikiem myśliwstwa, to też przyjąłem chętnie zaproszenie. W pierwszych dniach września wyjechałem z Paryża. Nie byłem jeszcze nigdy w tych stronach, rozpatrywałem się więc ciekawie po okolicy, wychylając się wciąż przez okno uwożącej mię karjolki i notując skrzętnie w głowie wrażenia podróżne. Samo Fontenay wygląd ma niezmiernie uroczy, dzięki niesłychanej ilości krzewów różanych oplatających wszystkie jego domy i wille; zapach róż unosi się tam w powietrzu a przy cokolwiek silniejszym powiewie wiatru deszcz listków różanych zasypuje wszystkie ulice, przez co miejscowość ta wygląda jakby w niej wiecznie obchodzono święto Bożego Ciała. Natomiast dojazd do Fontenay przedstawia widok ogromnie ponury z powodu znajdujących się tam kamieniołomów, które możnaby nazwać katakumbami Paryża, z nich bowiem powstały prawie wszystkie jego budynki, a podziemne galerje wykute w skale sięgać mają aż do przedmieścia prawie stolicy. Ludność górnicza, pracująca w kamieniołomach, ma również odrębny swój charakter urobiony zapewne skutkiem posępnego życia jakie prowadzi, pracując wiecznie pod ziemią w ciemnościach. Zamknięci w sobie, milczący a przytem zawzięci i mściwi, ludzie ci skłonni są do gwałtów i zbrodni, i często zdarzają się wśród nich katastrofy, uważane z początku za wypadkowe, a które okazują się potem wynikiem z góry obmyślanego planu zemsty. Spostrzeżenia te zrobiłem dopiero później; ale już na pierwszy rzut oka widok tych kamieniołomów wywarł na mnie przykre i przygnębiające wrażenie.

Przybyłem do Fontenay późnym już wieczorem; noc jednak była tak cudna i gwiaździsta, że obaj z moim przyjacielem mieliśmy wielką ochotę spędzić ją pod gołem niebem; przemocą prawie zagnano nas do łóżka, nazajutrz zaś zerwaliśmy się o godzinie piątej i udaliśmy się na polowanie.

Szczęście jakoś nie bardzo nam dopisywało, tak że do południa upolowaliśmy zaledwo parę kuropatw i jednego królika. Zrażony tem niepowodzeniem, odbiłem się od towarzystwa i sam powracałem do domu; gdy wtem na zakręcie głównej ulicy uderzył mnie widok człowieka biegnącego ku mnie od strony kościoła; widok tak dziwny i zastraszający, żem mimowoli położył palec na cynglu mojej dubeltówki. Człowiek jednak wyminął mnie w szybkim biegu, zdając się wcale nie dostrzegać; — oczy miał błędne, odzież w nieładzie, ręce zakrwawione, a z gardła jego wydobywało się ciężkie chrapanie jakby pod wpływem szalonego przestrachu. Zrozumiałem wnet, że musi on być wplątany w krwawy jakiś i przejmujący dramat a zdjęty ciekawością poszedłem za nim mimo, że trudno mi było nadążyć za jego krokiem. Nieszczęśliwy dopadł drzwi jednego z domów a szarpnąwszy gwałtownie za dzwonek, osunął się bezwładnie na słupek wmurowany przed gankiem. Po upływie kilku minut we drzwiach ukazała się jakaś kobieta, a ujrzawszy górnika (był to bowiem jeden z pracujących w kamieniołomach), spytała go, czego żąda.

— Matko Antoniowa — zawołał on bezdźwięcznym głosem — jeżeli pan mer jest w domu, powiedźcie mu, że zabiłem żonę, i że sam się oddaję w ręce sądu.

— Jezu przenajświętszy! — wrzasnęła kobieta, a za nią powtórzyło ten okrzyk kilka jeszcze głosów, przechodnie bowiem zauważyli już dziwne zachowanie się górnika, i spora ich gromadka zatrzymała się przed mieszkaniem mera. Kobieta poszła jednak spełnić swoje dziwne poselstwo i po kilku chwilach wysoka postać mera ukazała się na progu.

— Jakóbie — rzekł on do górnika — Antoniowa chyba oszalała, mówiąc mi, żeś zabił żonę.

— Zabiłem ją panie merze — odrzekł głucho tamten — każ mnie pan odprowadzić do więzienia i niech mnie jaknajprędzej osądzą.

— Chybaś zmysły postradał i sam nie wiesz, co mówisz.

— Patrz pan na moje ręce. — To mówiąc górnik wyciągnął obie ręce, z których jedna skrwawiona była po kostkę a druga po łokieć, prócz tego z wielkiego palca płynęła wciąż świeża krew, widocznie ofiara pasując się z mordercą musiała go tam ukąsić.

Tymczasem dwaj żandarmi ujęli pod ręce za-



WILLA W ŻEGIESTOWIE.

bójcę, nie stawiającego im żadnego oporu, po chwili zaś nadeszli jeszcze komisarz policyi i lekarz, zawezwani przez mera.

— Cóż to? Maleńkie zabójstwo? — wołał doktor mały, gruby człowieczek o jowialnej fizyognomji, nie przejęty bynajmniej grozą położenia.

— Zabiliście, jak słyszę, żonkę, mój poczciwy Jakóbie, czy to być może? — pytał górnika. — Tamten nie odrzekł słowa. Głuchym był podobnież na wszystkie pytania, jakie mu zadawał komisarz policji a dopiero słysząc, że mają go poprowadzić na miejsce zbrodni, zawołał rozpaczliwie:

— Ja tam nie pójdę, nie pójdę! za nic w świecie.

— Dlaczego? — spytał łagodnie mer.

— Panie merze! I pocóż? skorom się przyznał do wszystkiego. Odstawcie mnie do więzienia, osądźcie, ukarzcie jak chcecie, tylko nie każcie mi tam iść, nie prowadźcie na to miejsce.

Komisarz policji i pan Ledru (tak się nazywał mer) wymienili pomiędzy sobą znaczące spojrzenia, poczem mer rzekł do zabójcy tonem uroczystym:

— Miałeś odwagę zamordować żonę a teraz lękasz się spojrzeć na ofiarę swej dzikości.

— O panie merze, gdybyś wiedział, co się wówczas stało, nie dziwiłbyś się, że się tam pójść nie odważam.

— Czy zaszło coś nadzwyczajnego między wami?

— Panu tylko jednemu powiem to, panie Ledru.

To mówiąc zabójca przysunął się do mera, pociągając za sobą żandarmów, którzy go z rąk nie wypuszczali, i spytał go głosem przyciszonym, tak jednak, żeśmy wszyscy pytanie to usłyszeli.

— Jak pan sądzisz panie Ledru, czy głowa ucięta może mówić?

Usłyszawszy te słowa pan Ledru wydał lekki okrzyk i zbladł straszliwie, po chwili jednak odrzekł:

— Sądzę, że może.

— To też ona mówiła.

— Kto?

— Głowa żony mojej, głowa Joanny otworzyła oczy, spojrzała na mnie i powiedziała mi: „Nędzniku!“

Mówiąc to zabójca wyglądał przerażająco, widocznie w oczach miał jeszcze okropne zjawisko, zapominał więc o naszej obecności.

— Cha, cha, cha! — głowa ucięta mówiła — zaśmiał się doktór — mów komu innemu takie niedorzeczności.

— Mówiła, mówiła, panie merze — powtarzał zabójca, zwracając się tylko do pana Ledru.

— Tem bardziej musisz pójść z nami na miejsce zbrodni, zauważył komisarz policji. — Zabójca skręcił się całem ciałem w uczuciu grozy i zalęknienia.

— Przyjacielu — rzekł mu tonem perswazji mer — chodź z nami, będzie to dla ciebie początek pokuty za ciężką zbrodnię, którą popełniłeś; a zresztą darmo byś stawiał opór, bo władze mają prawo zmusić cię i zaprowadzić tam poniewoli.

— W takim razie panie Ledru o jedno cię tylko proszę, pozwól mi stać przy sobie i trzymać cię za rękę przez cały czas, gdy tam się znajdować będę.

Udaliśmy się więc wszyscy w stronę mieszkania zabójcy, które znajdowało się w głębi ustronnej uliczki, zamkniętej od tyłu. Na czele kroczył on sam, prowadzony przez dwóch żandarmów, za nimi szedł mer, komisarz policji i doktor, dalej ja i dwaj nieznani mi starzy panowie, goście i przyjaciele mera — za nami długi sznur zaciekawionej gawiedzi, która zbiegła się na wiadomość o zbrodni.

Przybyliśmy na miejsce. Wszystko tu tchnęło taką ciszą i spokojem, że nieuprzedzonemu widzowi na myśl by nawet nie przyszło, by się tu przed chwilą mógł rozegrać tak straszny i krwawy dramat. Ściany domku oplatały wachlarzowato u góry rozszerzone krzewy różane, na kamiennej ławce duży żółty kot wygrzewał się na słońcu, a dopiero ujrzawszy tłum obcych ludzi, skoczył w bok spłoszony. Wewnątrz domku takiż sam spokój. W izbie stół nakryty do objadu, łóżko porządnie zasłane, a w głowach jego czarny krucyfiks z zatkniętą zań gałązką z palmowej niedzieli, na kominku porcelanowa figurka Dzieciątka Jezus, przyozdobiona kwiatami.

— Idźcie na prawo, wyszeptał drżącym głosem zabójca.

Poszliśmy za jego wskazówką a uchyliwszy drzwi, znaleźliśmy się w komorze, gdzie w podłodze znajdował się otwór prowadzący do piwnicy.

— Tam! tam! — wskazał palcem uwięziony.

Doktór i komisarz zeszli pierwsi po schodach, za nimi my z merem i zabójcą; dwaj żołnierze stanęli we drzwiach domku, zagradzając drogę cisnącemu się tłumowi. W piwnicy leżał kadłub bez głowy, skręcony w ten sposób, jak gdyby tors zabitej uczynił jakiś ruch przedśmiertny, w którym nogi jej nie mogły już wziąć udziału; górna część zanurzona była w kałuży krwi, a pod ścianą na worku wypełnionym sproszkowanym gipsem stała jak na białym postumencie odcięta głowa, tonąca w powodzi gęstych włosów. Wąska struga krwi spływała po worku gipsowym aż na ziemię. Ponury ten obraz oświecocy był słabym płomykiem świeczki, stojącej w lichtarzu na beczce z winem. Z beczki zaś sączyło się wino z napół odkręconego kurka, widocznie ofiara zamordowaną została w chwili, gdy ukląkłszy obok beczki, zamierzała naciągnąć z niej wina do flaszki.



Z OKOLIC ŻEGIESTOWA.

— Spiszmy więc protokół — przemówił komisarz panów zaś proszę na świadków. Raczcie mi wymienić nazwiska wasze, wiek i zatrudnienie.

— Ludwik Alliete — zaczął jeden z przyjaciół mera — literat zamieszkały w Paryżu przy ulicy teatralnej Nr. 20.

— Ile pan masz lat?

— Czy mam wymienić istotne moje lata, czy też te, które mi przypisują.

— Pytam o prawdziwy pański wiek; cóż mnie u licha może obchodzić ile panu kto lat przypisuje.

— Bo widzi pan, zdarza się niekiedy, że wiek nasz jest w rażącej sprzeczności z tem, na co wyglądamy, a byli ludzie jak Cagliostro, żyd wieczny tułacz i inni, których wiek...

— Pisz pan 75 lat — przerwał szybko pan Ledru, jakby nie chcąc dopuścić do wyjaśnień.

Drugi przyjaciel mera, który był księdzem, przedstawił się jako Piotr Józef Moulle, proboszcz przy kościele św. Sulpicjusza. Ja również wymieniłem swoje nazwisko. Komisarz spisał protokół na beczce, potem zwrócił się z badaniem do obwinionego.


SALA JADALNA W ZAKŁADZIE Dra CHRAMCA W ZAKOPANEM.

— Jak się nazywasz?

— Jan Jakób Jacquemin.

— Ile masz lat?

— 41.

— Gdzie mieszkasz?

— Przecie tu właśnie i pan komisarz wie o tem.

— W każdym razie musisz to miejsce nazwać.

— W Fontenay, przy Zaułku sierżantów.

— Dobrze, a czem się trudnisz?

— Pracuję w kamieniołomach.

— Przyznajesz się do spełnienia zbroni?

— Przyznaję.

— Z jakiej przyczyny popełniłeś ją?

— Przyczyny nie powiem — zostanie ona pomiędzy mną a tą, co tam leży bez życia.

— Musi być przecie jakaś przyczyna.

— Przyczyną było także to, że my górnicy, siedząc wiecznie w tych dziurach podziemnych, nie mamy się czego weselić. A gdy ci jeszcze ktoś podszepnie złe słowo, to cię to gryzie i rozbiera po całych dniach i nocach. Takie właśnie słowo szepnął mi jeden z towarzyszy.

— Jakież było to słowo?

— To już do pana nie należy, dość, że postanowiłem zrobić to, com zrobił. Mówię więc do żony — nie pójdę dziś do roboty, chcę sobie trochę poświętować, idź ty na targ kupić, co trzeba na objad, a ja sobie pogram w kręgle z kolegami. Ona poszła, a jam wcale nie grał w kręgle, tylko wziąłem siekierę i ostrzyć ją zacząłem na kamieniu. Potem zeszedłem do piwnicy i ukryłem się za beczką, wiedząc, że musi tu przyjść, by natoczyć wina do objadu. Siedziałem tak długo, a serce biło mi jak młotem i w oczach latały czerwone iskry. W końcu usłyszałem szelest sukni i zobaczyłem jak schodziła zwolna po schodach. Najpierw widziałem jej nogi, potem rękę, trzymającą świecę, a w końcu ukazała się jej głowa — widziałem ją dokładnie. Co panowie powiecie? ona widocznie coś przeczuwała, rozglądała się naokoło, ale nic nie dostrzegła, bom siedział cicho w swojej kryjówce. Potem uklękła obok beczki i pochyliła głowę, chcąc utoczyć wina. — Rozumie pan, panie komisarzu, klęczała tak, jak winowajczyni; a mnie brzmiało ciągle w uszach słówko poszepnięte przez towarzysza, i piekło mnie i świdrowało w mózgu. Powstałem bez szelestu i jednym zamachem uciąłem jej głowę. Nie chciałem wtedy oddać się w ręce sprawiedliwości, o nie, chciałem ciało jej zakopać w piwnicy a sam uciekać. Umyślnie przyniosłem tu ten wór gipsu, by weń krew wsiąkła. Uchwyciłem za włosy głowę, która skakała po ziemi, ale wówczas ta głowa uchwyciła mnie.

— Jakto?

— Uchwyciła mnie panie zębami, które mi wbiła w wielki palec. — Położyłem ją na worku z gipsem i usiłowałem wyrwać jej palec z pomiędzy zębów — gdy w tem zęby te rozeszły się same, oczy jej spojrzały na mnie, a usta wyrzekły „Nędzniku byłam niewinną“.

— O tego już za wiele przerwał doktor — masz nas widocznie za bardzo łatwowiernych skoro sądzisz, że uwierzymy iż rozmawiałeś z odciętą głową.

— Ja wiem, że mi pan doktór nie wierzy, a jednak było tak rzeczywiście; głowa powiedziała mi: „Nędzniku, byłam niewinną“ i dla tego nie uciekłem lecz oddałem się w wasze ręce, bom może w istocie zabił niewinną.

— Panie doktorze zbadaj pan tę głowę — rzekł komisarz.

— Tylko nie przy mnie, nie przy mnie! krzyknął zabójca usiłując cofnąć się w tył.

Mer widząc stan nieszczęśliwego ulitował się nad nim i kazał go odprowadzić do więzienia, uważając, że obecność jego tu nie jest już konieczna. — Z wyjściem mordercy znikła ciążąca nad nami groza a został tylko ohydny obraz tego kadłuba bez głowy i głowy bez ciała. — Nam też pilno było rozejść się do domu, ale protokół nie był jeszcze podpisany; pan Ledru zaproponował byśmy na ten akt zeszli się w jego domu — i zaprosił nas przytem na obiad.

W pół godziny potem znajdowałem się już u pana Ledru, który przyjął mnie nadzwyczaj uprzejmie, pokazując jako nowoprzybyłemu rozmaite starożytne osobliwości zgromadzone w swym domu. — Inni goście, jak się zdaje starzy znajomi i przyjaciele mera, przechadzali się tymczasem po ogrodzie oczekując na obiad, cokolwiek dziś spóźniony, gdyż kucharka pobiegła była wraz z innymi na miejsce katastrofy, z czego korzystając brytan domowy porwał z wygaszonego ogniska duszącą się w rądlu pieczeń. — Rozmawiałem z panem Ledru stojąc przy oknie, zkąd widać było śliczny jego ogródek, a gdym go zaczął zachwalać gospodarz mój przerwał mi mówiąc: — Zwyczajny to wiejski ogródek i niema w nim nic osobliwego, ciekawsi o wiele są goście moi przechadzający się w tej chwili po lipowej alei.

— W istocie (odrzekłem) zauważyłem od razu, że muszą to być ludzie wyjątkowi i właśnie chciałem zapytać pana kim jest ów pan Aliette, który nie wiedział czy ma powiedzieć komisarzowi prawdziwe swoje lata czy też te na które wygląda.

— Czytałeś pan Hoffmana spytał pan Ledru.

— Tak jest.

— Masz więc przed sobą jedną z postaci tak chętnie przez niego przedstawianych. — Przyjaciel mój znał się w młodości ze sławnym Cagliostro i jemu podobnymi cudotwórcami; twierdzi, że posiada eliksir długiego życia i przekonany jest, że żyje na świecie od bardzo już dawnego czasu, przechodząc tylko rozmaite wcielenia niedostrzegalne oczywiście dla oczu gminu — Gdybyś go pan spytał ile ma lat odpowiedziałby że ze 275, tylko że 200 nie liczy się już dziś, jako należące do poprzednich egzystencji. Przekonany jest również, że nigdy nie umrze. — Dawniejsi ludzie mieliby go za czarownika, dzisiejsi uważają za warjata; jedni i drudzy jednak nie mają słuszności.

— A proboszcz Moulle? spytałem dalej— czy ma także jakie odrębne właściwości.

— O to święty człowiek, a przytem nadzwyczaj wykwintny i światowy, uwielbiają go zarówno biedni jak bogaci, najbardziej arystokratyczne rodziny uważają sobie za zaszczyt brać u niego śluby, a mowy jego wygłaszane do nowożeńców przechowywane są przez nich jako najdroższa pamiątka. — Ma on jednak pewne odrębne swoje wierzenia w rozmaite nadprzyrodzone rzeczy jako to wizje, zjawiska, przeczucia itp. — miał też sam rozmaite nadzwyczajne przygody, o których opowiada niechętnie i tylko w kółku najbliższych przyjaciół. — W ten sposób charakteryzował mi gościnny mer swoich biesiadników; potem zaś wychylił się do nich przez okno, i zapraszał na obiad. Gdy już wszyscy zgromadzeni byli w sali jadalnej, pan Ledru rzekł zwracając się do mnie.

— Panu, jako najmłodszemu z naszego grona, przypada zaszczyt sprowadzenia z ogrodu jedynej naszej współbiesiadniczki. — Idź pan w głąb alei lipowej a gdy ujrzysz postać eteryczną, nieziemską, przeźroczystą niemal, staraj się nakłonić ją, by zechciała wziąć udział w naszym obiedzie, przez wzgląd na to, że nawet tak uduchowione jak ona istoty, muszą niekiedy jeść, jeśli chcą utrzymać się przy życiu.

Posłuszny wezwaniu pana Ledru pospieszyłem do ogrodu w nadziei odkrycia tam uroczego niewieściego zjawiska; i w samej rzeczy nie zawiodłem się. — Na końcu lipowej alei siedziała owinięta czarnym szalem dama, której jasne włosy i alabastrową szyję zauważyłem już z daleka nie mogąc jednak dostrzedz twarzy, odwróconej w przeciwnym kierunku.

Kibić miała wysmukłą, szyję wydłużoną, co stanowi zawsze wielką ozdobę kobiecej urody — jedną ręką podpierała czoło, w drugiej leżącej bezwładnie na czarnej sukni, trzymała więdnący już kwiat białej róży. — Ręce te były niesłychanie białe, bez najlżejszego choćby zabarwienia, jak gdyby krwi pozbawione, tak że blada róża wyglądała stokroć żywiej i barwniej od wysmukłych palców, które ją przytrzymywały. Ta śmiertelna bladość szyi i rąk, i zupełna nieruchomość nieznajomej, która nie drgnęła nawet na odgłos moich kroków, jak gdyby ich nie słysząc — wywarły na mnie dziwne wrażenie, zdawało mi się że stoję w obec nieziemskiej jakiejś istoty, cudem chyba na ziemię przywołanej. W końcu odważyłem się do niej przemówić. — Dama odwróciła się i spojrzała na mnie, jakby ze snu zbudzona, wielkiemi czarnemi oczami. — Twarz jej była również powleczona śmiertelną niemal bladością, a na tle tej alabastrowej bieli tem mocniejszym szkarłatem czerwieniły się jej prześliczne usta, tem dziwniejszym blaskiem płonęły czarne oczy. — Podałem jej ramię na którem wsparła się z widocznem znużeniem, a mimo to tak dalece nie czułem żadnego ciężaru, żem się co chwila obracał ku mojej towarzyszce, jakby dla upewnienia się czy jest jeszcze przy moim boku. — Dowiedziałem się później, że blada dama jest Polką, że uległa rozmaitym nieszczęściom w czasie walki rodaków swych z moskiewskim caratem. Wieczysta zaś bladość, pokrywająca jej oblicze była wynikiem równie dziwnej jak i trudnej do uwierzenia przygody, którą mi sama opowiedziała, gdyśmy z sobą bliższą zabrali znajomość.

---

KLAUDYUSZ FERRAND.

# WAZA KOMPEITO.

**Bajka japońska.**

Wójt wioski Karazaki obchodził wesele swej córki. Wszelkie miejscowe wielkości, urzędnicy, właściciele, kapitaliści zostali zaproszeni na tę uroczystość. Siedząc w koło na matach, podawali jeden drugiemu bez przerwy tradycyjną szklankę sake. Konwersacja jest nadzwyczaj ożywioną. Nastrój bardzo gorący. Skry dowcipu, skry słów sypią się, jak z rogu obfitości, z dobrych głów wieśniaków, podnieconych doskonałym likierem. Między biesiadnikami jedno z pierwszych miejsc zajmuje dzielny i szlachetny starzec, nazwiskiem Goroyomon. Cóż, kiedy biedak miał taką naturę, że sam zapach sake przyprowadzał go o mdłości. Nie pił więc wcale...

Ale zaprawdę nudzi się ów, który przy uczcie weselnej nic nie pije. Starzec zatem nudził się.


PRZED ZAKŁADEM Dra CHRAMCA w ZAKOPANEM.

Gospodarz spostrzegł to, zawołał zaraz jedną ze służących i rozkazał jej przynieść wazę kompeito.

Waza kompeito, którą służąca na rozkaz pana domu przyniosła, była właściwie małym dzbanem, o wąskiej szyjce, dozwalającej zaledwie wsunąć męzką rękę. Służąca położyła tę wazę na stole. Pan domu przysuwa ją grzecznie starcowi:

— Ponieważ nie pijecie — powiada — jedzcie, proszę was, bez ceremonji trochę kompeitów. To was rozerwie.

Starzec z początku odmawia. Grzeczność, dobre znalezienie i wychowanie każą bowiem wpierw odmówić przyjęcia przysmaku, którym częstuje pan domu, chociażby nawet odczuwało się szczere chęci skosztowania tych łakoci. Ustępując w końcu prośbom gospodarza i naleganiom swych sąsiadów, kładzie starzec dzban na swych kolanach, wsuwa w szyjkę rękę, chwytając garść kompeitów.

Ale cóż to się stało, ręki, która tak łatwo weszła, nie może wyciągnąć; pozostaje uwięziona w dzbanie, a wszelkie wysiłki ramienia niesienia ratunku i pomocy swym kończynom są bezowocne. Nie może jej wyjąć!

— Hola! co wam się stało — pyta jeden z sąsiadów, uderzony dziwnym wyrazem, który raptownie przybrała twarz Goroyomona.

— Och! to nic — odpowiada ostatni z usiłowaniem zachowania spokoju, niezadowolony, że jego przygoda została podpatrzoną — mam tylko małą trudność z wyciągnieniem mej ręki z tej wazy...

— To ciekawe — pochwycił inny — zaczekajcie, ja wam pomogę...

Uprzejmy sąsiad bierze dzban w obie ręce, opiera silnie spód o swoją pierś i przytrzymując wazę mocno mówi:

— Raz, dwa, trzy, ciągnijcie!

Biedny Goroyomon ciągnie mocno, o ile tylko może, ale wszelkie usiłowania są daremne!

Krnąbrna ręka wypowiedziała posłuszeństwo i nie chce się ukazać. Współbiesiadnicy zaintrygowani z początku i ubawieni oryginalnem i komicznem zdarzeniem, nie mogli powstrzymać się od gwałtownego wybuchu śmiechu.

Starzec sam nie śmiał się wcale. Na jego twarzy malowały się naprzemian wstyd i boleść.

— Moja ręka puchnie... — rzekł nagle drżącym głosem.

Współbiesiadnicy zaczynają się niepokoić. Jeden radzi, by posłać natychmiast po doktora; inny znów proponuje cyrulika.

Nauczyciel szkolny z tej wioski, który zdarzeniu przypatrywał się, nie biorąc dotąd udziału w rozmowie tym faktem wywołanej, wstaje niespodzianie, a nakazując poważnym ruchem zebranym milczenie, zwraca się do nich i uroczystym głosem o odcieniu urzędowym, w ten sposób przemówia:

— Pocóż niepokoicie się tak, szanowni panowie! Doprawdy, rzecz cała zamałej wagi, by mogła Was, szanowni panowie, do tego stopnia zatrwożyć. Zapewne każdy z Was musiał słyszeć opowieść z życia tego osławionego Skiba Onko! Tym, którzy jej nie słyszeli, opowiem w dwóch słowach... Oto ona: Skiba Onko, będąc jeszcze małem dzieckiem, bawił się pewnego dnia na brzegu morskim z kilku swymi młodymi towarzyszami. Stała tam na brzegu urna z ziemi ogromnych rozmiarów

Zkąd się tam ta urna wzięła, o tem historja nic nie mówi. Lecz mniejsza o to. Stało się tak — szanowni panowie! — że najmniejsze z dzieci, usiadłszy nieostrożnie na brzegu tej urny... wpadło do środka... Wpadło tam z okrzykiem przerażenia.

Przestraszeni jego towarzysze pouciekali, korzystając z całej chyżości swoich młodych nóżek... Skiba Onko nie ruszył się. Niewzruszony, przytomny i spokojny pozostaje przy ofierze. Zastanawia się długo nad sposobem wyratowania swego małego towarzysza.

W krótce błysk światła rozjaśnił jego umysł. Oddalając się od urny o parę kroków, podejmuje duży kamień i rzuca go w urnę ze wszystkich sił. Urna rozbiła się... a więzień wyszedł zdrów i wesół.

Historja ta, szanowni panowie, przedstawia, mojem zdaniem, uderzającą analogię, z niewygodną i niemiłą sytuacją pana Goroyomona. Nie rozchodzi się wprawdzie o dziecko, uwięzione w urnie, to prawda, cóż to szkodzi? Ręka jest tak członkiem ciała, jak dziecko członkiem rodziny. Uważajcie! szanowni panowie! — ja sam wezmę na siebie rolę Skiba Onko. Ale oto, patrzcie! Nie nadbrzeżnym kamieniem stłukę wazę kompeito, ale tem, panowie!

W tem miejscu ukazał swą fajkę, swą małą fajkę o rurce bambusowej, okutą w żelazo.

Wszyscy w milczeniu słuchali przemówienia wymownego pedagoga.

Starzec, którego ręka była wciąż uwięzioną i uprzejmy sąsiad, który trzymał dzban, pozostali nieruchomi w tych samych pozycjach. Godny mowca skończył swą przemowę.

Zbliża się, trzymając fajkę w prawej ręce... uroczyście... jak starożytny samurai z podniesionym mieczem, by jakiegoś zuchwalca pozbawić głowy. Podnosi z powagą koniec rękawa, który mógłby mu przeszkadzać w tej delikatnej operacji.

Potem, obrzucając zebranych wzrokiem:

— Panowie — mówi uroczystym głosem — ten dzban jest wartościowem naczyniem, lecz mniej jest drogocennym, jak ręka tego starca!

To rzekł i silnem uderzeniem, ostry brzęk wydającem, rozbił w powietrzu wazę kompeito. Przestraszone kompeito rozsypują się na małe, podobne do płatków śniegu cząsteczki. W tej chwili rozlega się równocześnie po wszystkich kątach sali ogromny wybuch śmiechu.

Ręka starego Goroyomona ukazuje się oczom wszystkich i pojęli wtedy, dlaczego przed chwilą nie można było jej wydobyć...

Trzyma jeszcze teraz w garści zduszonych kilkadziesiąt kompeito, które powiększyły jej rozmiary. Biedna ręka nie pomyślała nawet, by się pozbyć tego ciężaru!

# ŻEGIESTÓW.

Do najbardziej uroczych miejscowości wśród zdrojowisk krajowych zasługujących na gorące poparcie u naszej publiczności — należy Żegiestów. Niewielki, ukryty w smerekowym lesie, ma w sobie coś, co niezwykle pociąga i przywiązuje osoby, które lubują się w pięknych widokach natury i wycieczkach nie niszczących siły i zdrowia.

Rwący Poprad rozlewa się u jego stóp szerokiem korytem, co dla wielu, jest niemałą atrakcją i często jedynym celem odwiedzania Żegiestowa. Wśród tego malowniczego otoczenia lesistych wzgórz, poprzecinanych ścieżkami wznoszą się wille, zakład zdrojowo-kąpielowy, łazienki, pensjonat, restauracje e. t. c. Skuteczność tutejszej szczawy żelazistej jest dawno wszystkim znaną. Zalecaną bywa przez lekarzy w blednicy, anemii i osłabieniach; tak samo jak kąpiele mineralne, borowinowe i popradowe. Dzięki staraniom właściciela Żegiestowa pana Krynickiego, miejscowość ta ogromnie się podnosi. Co rok spostrzegamy jakieś pożądane nowości i ulepszenia. Do ostatnich należy zaprowadzenie pensjonatu, gdzie kuracjusze prócz pomieszkania, czytelni i fortepianu, mają zdrowy, domowy wikt i staranną opiekę samych właścicieli. Jest to rzecz niezwykłej wagi, zwłaszcza dla rodzin, w których anemiczne panienki potrzebują leczenia a stosunki domowe nie pozwalają na wyjazd kilku osób do kąpiel. Lekarzem ordynującym jest Dr. Piotrowski z Krakowa.

Muzyka zakładowa przygrywa ochoczo dwa razy dziennie przy źródle i na reunionach, które się tu odbywają z powodzeniem każdej soboty. W tym roku, chociaż pogoda niezbyt dopisuje, wille nie stoją pustką; a jeżeli czas się zmieni na lepsze, sierpień i wrzesień będą prawdopodobnie bardzo ożywione i umożliwią układane wycieczki do Lubowli (na Węgrzech) Szczawnicy i Czerwonego klasztoru.

## „Czasopismo prawnicze i ekonomiczne“

Rocznik III. 1902. — Zeszyt 3, 4. Kraków 1902.

Jako owoc szlachetnej emulacji na polu naukowej produkcji mamy w kraju dwa czasopisma, zawdzięczające swe powstanie i materjał Towarzystwom prawniczym: krakowskiemu i lwowskiemu.

„Czasopismo prawnicze i ekonomiczne“, organ Wydziału prawa i administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, rozesłało w tych dniach członkom swoim zeszyt 3 i 4 bieżącego roku, które treścią rozpraw naukowych, doborem tematów i bogactwem omówionej literatury i recenzji zadowolić muszą najwybredniejsze wymagania i są nowym dowodem, że redakcja, spoczywająca w wytrawnych rękach prof. Dra Franciszka X. Fiericha, w zupełności zasługuje na owo uznanie w kołach fachowych, jakiem się jej publikacje cieszą.

Na czele ostatniego numeru znajdujemy cenną rozprawę Prof. Dra Stanisława Madejskiego p. t. „Polityczne prawo wolności narodowej“, z której dla braku miejsca wyjmujemy dwie tylko definicje, zdolne, ze względu na doniosłość zagadnień w nich określonych, zainteresować i pozafachowy ogół. Na stronie 378 czytamy: „Szczep jestto powstała z historycznego rozwoju plemiennego społeczność, która, wytworzywszy na podstawie wspólnej mowy ojczystej własną cywilizację niższego stopnia, z odrębną cechą, tę odrębność swoją zapomocą społecznego działania, które wypływa ze zbiorowego poczucia szczepowego i zbiorowej woli szczepu, z pokolenia na pokolenie zachowuje“. Na stronie 379 zaś: „Naród jest to szczep, który doszedłszy na podstawie ojczystej mowy do odrębnej cywilizacji wyższego stopnia i biorąc zapomocą niej udział w ogólnej pracy ludzkości nad rozwojem cywilizacyjnego postępu, tę swoją odrębność wskutek społecznej działalności, która wzpływa ze zbiorowego pocz*cia narodowego i zbiorowej woli narodu, z pokolenia w pokolenie zachowuje i rozwija“.

Dalsze paragrafy obejmują wywody o podmietach prawa, w tytule wymienionego i jego istocie, wreszcie o zdolności do prawa wolności narodowej a towarzyszy im polemika z odnośnemi zapatrywaniami w nauce.

Następna rozprawa p. t.: „O sądach cywil. polubownych według nowej procedury, wyszła z pod pióra prof. dra Rosenblatta i odznacza się, jak wszystkie zresztą prace tego autora, oryginalnością tematu i przejrzystością opracowania i żałować tylko wypada, że przedmiotem dyskusji w tej materji, w swoim czasie w tow. prawniczem przeprowadzonej, nie był cały odczyt taki, jakim go dziś w czasopiśmie widzimy, mamy bowiem prawo przypuszczać, że w takim razie łatwiej byłoby oponentom zgodzić się na dość skrajne wnioski, z omówienia wartości sądów polubownych wysnute.

Oryginalności tematu ani przejrzystości nie można natomiast przyznać trzeciej z rzędu pracy pt. „Budowa gospodarcza nowoczesnych społeczeństw“ przez Dra St. Grabskiego. Są to tylko nowe warjacje na ciągle powracające w nauce o gospodarstwie problemy wartości, charakterystyki zasadniczych znamion zjawisk gospodarczych, w które obfitują wszystkie niemal systemy ekonomiczne i o których stosy już monografji napisano. Nie wydaje nam się dalej dość językowo czystem zdanie: (str. 447) „jest to koń n. p. krwi zimnej, a więc takiej to wartości, lecz jest z wadami, a więc wartość jego o tyle to się zmniejsza i t. d.“

Definicje proponowane przez autora są zbyt rozwlekłe i nieodpowiadają wymogom zwięzłości, którą J. St. Mill ojciec pojęcia definicji na pierwszy plan wysuwa. W interesie jednolitości polskiej nauki ekonomii należałoby może dalej porozumieć się co do terminologii, i na określenie niemieckiego wynalazku „Grenznutzen“ używać jednolitej nazwy, a nie raz „użyteczność graniczna“ jak w omawianej rozprawie, drugi raz „kresowa“ (Dr. St. Grabski. „Wstęp do metodologii ekonomii politycznej“ Przegląd filozoficzny Rok II. 1899 zeszyt IV. str. 80) lub „krańcowa“ (Prof. Czerkawskiw Gide'a „Zasadach ekonomii społecznej“ 1900 str. 67) Z uznaniem należy wreszcie podnieść rozprawę czwartą: „Z dziedziny statystyki kryminalnej“ przez Dra Juljana Morelowskiego“, dającą pogląd szczegółowy na stosunek liczby przestępstw do wieku, płci, zawodów itd. tembardziej że wyszła z pod pióra praktyka, nie teoretyka i ma wszelkie zalety studjum na bezpośredniej obserwacji opartego.

Drugi dział obejmuje Przegląd literatury z zakresu prawa administracyjnego przez Dra Tad. Bresiewicza i literatury ostatniego trzechlecia (1898 do 1900) z zakresu austrjackiego prawa procesowego cywilnego przez Dra Józefa Steinberga, wreszcie bogaty dział recenzyjny opracowany przez Dra Bresiewicza, prof. Fiericha i doc. Dra Makarewicza. Z prac Polaków są recenzje głośnej rozprawy prof. Dra Wł. Ochenkowskiego pt. "Nasze położenie i zadanie", Litwina: "Wartość pieniądza" wreszcie Dra Zyg. Hofmokla: „Ideen-Skizze zur Begriffsbestimmung der Oekonomik als Sonderdizeiplin“ piura Prof. Dr. Włod. Czerkawskiego. Obfitą treść zeszytów zamyka kronika krak. Tow. prawniczego i ekonomicznego, wskazująca jak żywym jest ruch naukowy z inicjatywy tego towarzystwa pochodzący.